



Zakochany
przez
przypadek
Yoav Blum

ALBATROS

Ze „Wstępu do kreowania przypadków” – część I

Popatrzcie na linię czasu.

Oczywiście to tylko iluzja. Czas jest przestrzenią, a nie linią.

Jednak na nasze potrzeby – popatrzcie na linię czasu.

Obserwujcie ją. Zauważcie, że każde wydarzenie na tej linii jest zarówno przyczyną, jak i skutkiem. Spróbujcie zlokalizować jej początek.

To oczywiście wam się nie uda.

Każde „teraz” ma swoje „przedem”.

To chyba główna – choć nie najbardziej oczywista – trudność, którą napotkacie jako kreatorzy przypadków.

Dlatego zanim przystąpicie do studiowania teorii i praktyki, formuł i statystyk, zanim zaczniecie kreować przypadki, zacznijmy od najprostszego ćwiczenia.

Jeszcze raz popatrzcie na linię czasu.

Znajdźcie właściwe miejsce, wskaźcie je palcem i zdecydujcie po prostu: „To jest początek”.

1

Również tutaj wyczucie czasu było decydujące.

Pięć godzin przed pomalowaniem po raz dwieście pięćdziesiąty południowej ściany swojego mieszkania Guy siedział w kawiarence, gdzie próbował sączyć kawę rozważnie i z namysłem.

Jego ciało było nieco odchylone od stołu, w sposób, który powinien sugerować spokój wynikający z wielu lat samodyscypliny. Mała filiżanka delikatnie spoczywała między jego palcami niczym cenna muszla. Kątem oka śledził ruch wskazówki sekundowej na dużym zegarze nad kasą. Jak zawsze w ostatnich chwilach przed wdrożeniem planu był irytująco świadom własnego oddechu i bicia serca, które czasem zagłuszały tykanie sekund.

Kawiarenka była na wpół pełna.

Rozejrzał się po ludziach i w myślach znów zobaczył pajęczyny przecinające powietrze, cienkie, niewidzialne połączenia, które ich spajały.

Naprzeciwko niego, na drugim końcu lokalu, siedziała nastolatka o okrągłej twarzy, opierając głowę o szybę i po-

zwalając, by muzyka wyprodukowana przez alchemików marketingu specjalizujących się w nastoletnim romansie zalewała jej myśli przez kable słuchawek. Zamknęła oczy, rozluźniła mięśnie twarzy – bił od niej spokój. Guy wiedział o niej zbyt mało, żeby ocenić, czy jest on autentyczny. W tej chwili nie była elementem równania. Nie miała nim być – pozostawała jedynie elementem szumu w tle.

Przy stoliku naprzeciwko niej siedziała speszona para, na swojej pierwszej czy drugiej randce. Oboje usiłowali przebrnąć przez konwersację: może to była przyjacielska pogawędka, może rozmowa o pracę na stanowisko małżonka, a może cicha wojna na dowcipne uwagi, kamuflowane uśmiechami i zerkaniem w bok, żeby uniknąć dłuższego kontaktu wzrokowego, bo stworzyłby on fałszywe poczucie intymności. Para stanowiła wzorcowy wręcz przykład wszystkich pośpiesznych związków, nerwowo skupionych na sobie samych. Świat był ich pełen, nawet jeśli bardzo starał się im zapobiec.

Nieco głębiej, w kącie, przy stoliku zarzuconym kartkami pokrytymi gęstym pismem, siedział student zajęty wymazywaniem z serca twarzy byłej ukochanej. Pogrążony w marzeniu udającym naukowe skupienie, wpatrywał się w duży kubek gorącej czekolady. Guy znał nazwisko młodzieńca, jego dokumentację medyczną, historię emocjonalną, treść rozmyślań i marzeń, drobne lęki. Wszystko miał gdzieś zewidencjonowane... wszystko, czego potrzebował, żeby odgadnąć wszelkie możliwości, uporządkować je według skomplikowanych statystyk związków przyczynowo-skutkowych.

Wreszcie dwie kelnerki o zmęczonych oczach – które jakimś cudem wciąż się uśmiechały i stały na nogach – prowadziły cichą, ożywioną rozmowę przy zamkniętych drzwiach

do kuchni. Albo raczej jedna mówiła, a druga słuchała, raz po raz kiwając głową i dając znaki zgodne z ustalonym protokołem o nazwie „Uważam na to, co mówisz”, choć Guy miał wrażenie, że myśli teraz o czymś całkiem innym.

Jej historię również znał. A przynajmniej taką miał nadzieję.

Odstawił filiżankę z kawą i w myślach odliczał sekundy.

Według zegara nad kasą była za siedemnaście minut czwarta.

Wiedział, że zegarek każdej osoby w kawiarni wskazuje nieco inny czas. Pół minuty w jedną czy w drugą stronę właściwie nie miało znaczenia.

Przecież ludzi odróżniało od siebie nie tylko miejsce. Działali również w innym czasie. Do pewnego stopnia poruszali się we własnych bańkach czasowych, które sami wytworzyli. Jak powiedział Generał, praca Guya polegała między innymi na tym, żeby zetknąć te czasy ze sobą w taki sposób, by nie wydawało się to sztuczne.

Guy sam nie miał zegarka. Przekonał się, że go nie potrzebuje. Zawsze radził sobie bez niego, bo tak był świadomy czasu.

Uwielbiał to uczucie ciepła, które przenikało niemal do kości, towarzyszące minucie przed wykonaniem misji. Niosła je świadomość, że za chwilę Guy wyciągnie palec i szturchnie Ziemię lub niebiosa. Że wytrąci wydarzenia z ich zwykłego, utartego biegu, wydarzenia, które jeszcze przed sekundą zmierzały w zupełnie innym kierunku. Był niczym człowiek malujący ogromne, skomplikowane pejzaże, ale bez pędzla i farb – tylko poprzez delikatne, precyzyjne obrócenie wielkiego kalejdoskopu.

Gdybym nie istniał, myślał nieraz Guy, musieliby mnie wymyślić. Musieliby.

Każdego dnia dochodziło do miliardów takich ruchów, powiązanych ze sobą, równoważących się wzajemnie i wprawiających się nawzajem w tragikomiczny taniec możliwych wersji przyszłości. Żadna z osób, których te ruchy dotyczyły, nie była ich świadoma. A on, jedną prostą decyzją, dostrzegał mającą nastąpić zmianę i jej dokonywał. Elegancko, po cichu, w tajemnicy. Nawet gdyby zostało to obnażone, nikt nie uwierzyłby, co się za tym wszystkim kryje. Mimo to Guy zawsze czuł wcześniej lekkie drzenie.

„W pierwszej kolejności – powiedział im Generał, kiedy zaczęli – jesteście tajnymi agentami. Wszyscy inni są w pierwszej kolejności agentami, a w drugiej tajnymi, wy natomiast w pierwszej kolejności jesteście tajni, a w drugiej także, do pewnego stopnia, jesteście agentami”.

Guy głęboko wciągnął powietrze i wszystko zaczęło się dziać.

Nastolatka przy stoliku naprzeciwko niego lekko się poruszyła, gdy skończył się jeden utwór z playlisty i zaczął następny. Zmieniła pozycję głowy na szybie, otworzyła oczy i spojrzała na zewnątrz.

Student pokręcił głową.

Para, wciąż mierząc się wzrokiem, zachichotała zmieszana, jakby na świecie nie istniał żaden inny rodzaj chichotu.

Wskazówka sekundowa pokonała już ćwierć okrążenia.

Guy wypuścił powietrze.

Wyjął z kieszeni portfel.

Dokładnie o czasie krótkie, nerwowe wezwanie zmusiło kelnerki, by się rozdzieliły, i jedna z nich weszła do kuchni.

Guy położył na stoliku banknot.

Student zaczął zbierać papiery, powoli i w zamyśleniu.

Wskazówka sekundowa przebyła połowę swojej drogi.

Guy postawił filiżankę, wciąż do połowy pełną, na banknocie, dokładnie sto dziewięćdziesiąt milimetrów od krawędzi stolika. Kiedy wskazówka dotarła do czterdziestej drugiej sekundy, wstał i pomachał do tej kelnerki, która nie weszła do kuchni, gestem wyrażającym zarazem „dziękuję” i „do widzenia”.

Ona odpowiedziała ruchem dłoni i ruszyła w stronę stolika.

Gdy wskazówka sekundowa minęła trzy czwarte okrążenia, Guy wyszedł na skąpaną w słońcu ulicę i zniknął z oczu klientom kawiarni.

Trzy, dwa, jeden...

*

Ładny student w kącie zbierał się do wyjścia.

Chociaż był to stolik Julie, musiała się nim zająć Shirley, bo koleżanka weszła do kuchni. Nie żeby jej to przeszkadzało. Shirley lubiła studentów. Lubiła ładnych młodych mężczyzn. Ładny student to wręcz idealne połączenie.

Pokręciła głową.

Nie! Natychmiast skończ z tymi myślami! Dość z „ładnymi” i „uroczymi” facetami i całą resztą przymiotników, którymi musisz ciągle rzucać.

Już to przerabiałaś. Spróbowałaś, sprawdziłaś, poszybowałaś i się rozbiłaś. A teraz się nauczyłaś. Dostyc. To koniec. Robisz sobie przerwę.

Drugi młody człowiek, ten o melancholijnym spojrzeniu,

pomachał do niej i ruszył do drzwi.

Znała go, jeśli można kogoś znać z cotygodniowych milczących wizyt. Zazwyczaj wypijał kawę do ostatniej kropli, zostawiając mętny osad na dnie, jakby czekał na wróżkę, która nigdy nie przyszła, i kładł pieniądze, starannie złożone, pod filizankę. Opuścił kawiarnię, a Shirley wydawało się, że dostrzegła w jego krokach jakieś napięcie. Podeszła do jego stolika, pilnując się, żeby nie patrzeć na studenta.

W końcu była tylko człowiekiem. Minął już cały rok. Najwyraźniej wciąż odczuwała potrzebę ludzkiego ciepła. Ciągłe nie przywykła do myśli, że samotność to nowe bycie razem. Że musi być silna, autentyczna, musi być piękną samotną wilczycą na śniegu, lamparcicą na pustyni albo coś w tym stylu. Lata oglądania babskich filmów, słuchania cukierkowych piosenek pop i czytania płytkich książek sprawiły, że w jej umyśle solidnie ufortyfikowały się romantyczne złudzenia.

Ale będzie dobrze.

Będzie dobrze.

Wyciągnęła rękę, trochę zagubiona we własnych myślach.

Usłyszała z tyłu jakiś cichy dźwięk i obróciła głowę. To ta dziewczyna ze słuchawkami coś nuciła pod nosem.

Jeszcze zanim Shirley odwróciła się z powrotem, zrozumiała, że popełniła błąd.

Jej mózg postrzegał wydarzenia tak, jak się toczyły, przewidywał je, wymierzał z precyzją zegara atomowego, ale zawsze o tysięczną sekundę za późno.

Oto jej ręka nieco przesuwawała filizankę, zamiast ją chwycić.

Oto filizanka, która z jakiegoś powodu stała bardzo blisko krawędzi, traciła równowagę.

Oto Shirley wyciągała drugą rękę, próbując złapać spadającą filiżankę; bez powodzenia, więc filiżanka roztrzaskała się o podłogę, a Shirley wydała z siebie ostry, pełen irytacji okrzyk.

I oto ten student – to znaczy jakiś młody człowiek, młody człowiek, który w ogóle nie był interesujący – uniósł głowę w reakcji na ten okrzyk, poruszył ręką w niewłaściwą stronę i niechcący rozlał gorącą czekoladę na swoje papiery.

I oto z kuchni wychodził Bruno.

Kurde.

*

– Czasem musicie być trochę bezwzględni – mawiał Generał. – Tak bywa. To konieczne. Ja osobiście bardzo to lubiłem. Ale żeby zrozumieć sprawę, nie trzeba być małym sadystą. Zasada jest całkiem prosta.

Guy szedł ulicą, odliczając kroki do chwili, aż będzie mógł sobie pozwolić, by się odwrócić i popatrzeć z daleka. Filiżanka powinna była już spaść. Tylko rzuci okiem, szybko zerknie, żeby upewnić się, że wszystko w porządku, żeby potwierdzić. To nie jest dziecinne zachowanie, to zdrowa ciekawość. Nikt nie zauważy. Znajdował się po drugiej stronie ulicy. Wolno mu było to zrobić.

A potem pójdzie uszkodzić rurę.

*

Shirley zobaczyła, że student klnie i macha rękami, usiłując ratować kartki pokryte gęstym pismem.

Schyliła się szybko, by zebrać szczątki filiżanki, i uderzyła głową o stół. Kurde numer dwa.

Starła się pozbierać duże kawałki tak, żeby się nie skaleczyć. Buty miała całe w plamkach kawy, przypominających łaty niezdecydowanej żyrafy.

Czy plamy po kawie schodzą w praniu? Czy te buty w ogóle można prać?

Po cichu skłęła wszystko i wszystkich. W tej kawiarni zdarzyło jej się to już po raz trzeci. Bruno wyraźnie dał jej do zrozumienia, co będzie za trzecim razem.

– Zostaw to – usłyszała cichy głos.

Bruno przykucnął obok niej, purpurowy z wściekłości.

– Przepraszam – powiedziała. – Naprawdę. To... to był wypadek. Rozkojarzyłam się na pół sekundy. Naprawdę.

– To już trzeci raz – wymamrotał Bruno ze złością. Nie lubił krzyczeć przy klientach. – Za pierwszym razem powiedziałem, że to nic takiego. Za drugim cię ostrzegłem.

– Bruno, przepraszam.

Wbił w nią wzrok.

Oj. Duży błąd.

Bardzo nie lubił, kiedy ktoś zwracał się do niego po imieniu. Zwykle Shirley nie popełniała takich błędów. Co się z nią dzisiaj działo?

– Zostaw to – powtórzył cicho, akcentując każde słowo. – Oddaj strój, weź swoją część dzisiejszych napiwków i wyjdź. Już tu nie pracujesz. – I zanim zdążyła się odezwać, wstał i wrócił do kuchni.

*

Teraz Guy biegł.

Miał jeszcze dużo roboty. Nie wszystko dało się przygoto-

wać z wyprzedzeniem. Pewne rzeczy musiał wykonać w ostatniej chwili albo przynajmniej sprawdzić, czy toczą się tak, jak powinny.

Nie osiągnął jeszcze tego etapu, w którym pozwalałby filizankom spadać, a potem rozsiadałby się i oglądał, jak wydarzenia następują jedno po drugim. Wciąż musiał lekko popychać sprawy w czasie rzeczywistym.

*

Będzie musiał ponownie skserować większość materiału.

Jedna z kelnerek – nie ta, która zbierała kawałki filizanki z podłogi i wyglądała, jakby zaraz miała się rozplakać – podeszła do niego z papierowym ręcznikiem i pomogła usunąć resztki czekolady, których kartki nie zdążyły wchłonąć. W milczeniu szybko wytarł stół. Większość papierów zostawił.

– Może je pani wyrzucić – powiedział do kelnerki. – Skseruję od nowa.

– Ale kanał – odparła i ze współczuciem wydeła wargi.

– Poproszę rachunek. Chyba już pójdę.

Skinęła głową i odwróciła się, a on poczuł zapach jej perfum. W jego głowie odezwał się cichy, dawny alarm. Perfumy Sharon.

Tylko tego mu brakowało.

Zamrugął i dalej wpychał do torby kartki, które pozostały suche. Po chwili kelnerka położyła przed nim, na błyszczącym stoliku, rachunek.

Nawet nie zauważył tego, że kiedy się zbliżyła, przestał odychać, by przypadkiem nie poczuć jej zapachu.

Gdy odeszła, podniósł wzrok znad rachunku i zobaczył, że druga kelnerka, ta, która zrzuciła filizankę, wychodzi z ka-

wiarni w prywatnym ubraniu.

*

Guy usiadł na przystanku autobusowym i otworzył mały notes.

Był w miejscu, gdzie ona raczej go nie zobaczy, ale na wszelki wypadek udawał, że czyta.

Otworzył notes na jednym z pierwszych przypadków, przy których pracował. Misja polegała na spowodowaniu, żeby pewien pracownik fabryki butów stracił pracę. Ów człowiek był genialnym kompozytorem, który nie odkrył swego muzycznego talentu. W pierwszym etapie Guy musiał zaaranżować jego zwolnienie; w drugim – zderzyć go z muzyką w taki sposób, by sam spróbował coś skomponować.

To było stosunkowo trudne zadanie jak dla nieopierzonego kreatora przypadków i dużo mniej ekscytujące niż inne misje, o których marzył Guy.

Pamiętał, że był wówczas człowiekiem dość pretensjonalnym. Spróbował zrobić coś, co znacznie przerastało jego zdolności planowania. Notatki przypomniały mu, że wykorzystał wtedy wyjątkowo niespokojną kozę, szczepionki na grypę oraz awarię prądu, która sparaliżowała całą fabrykę.

Oczywiście mu się nie udało. Nieprawidłowo wyliczył godziny przybycia pracowników i w efekcie wylali kogoś innego. To było w czasach, kiedy brał pod uwagę wyłącznie daną osobę, zamiast rozważyć jej powiązania z szerszym otoczeniem. Nie uwzględnił wzorca porannych czwartkowych korków w rejonie, gdzie mieszkał kompozytor, przez co w chwili, kiedy według Guya w fabryce miał się znaleźć jego cel, była tam inna osoba.

Plan całego manewru, który Guy próbował przeprowadzić, zajmował w notesie cztery strony. Cztery strony! Za kogo on się uważał, do cholery?

Ktoś inny zaaranżował zwolnienie kompozytora pięć miesięcy później. Na to miejsce zdołał przywrócić do pracy człowieka wylanego pomyłkowo z winy Guya. Guy nigdy się nie dowiedział, kto tego dokonał. Sądził, że z powodu jego błędu kilka utworów muzycznych nigdy nie powstało.

Nie wszystkie jego wpadki naprawiano w ten sposób. Nie zawsze trafiała się druga szansa.

Zobaczył, że kelnerka, która straciła jego filiżankę, podeszła na przystanek po przeciwnej stronie ulicy.

*

W tym momencie wydawało się, że cały świat obraca się wokół rytmicznego stukotu jej kroków na chodniku. Stukotu, cichego świstu, z jakim jej ręka ocierała się o ubranie, oraz drapania metki z tyłu bluzki. Kiedy Shirley była poirytowana, zwracała uwagę na nieistotne szczegóły.

Odkryła to niedawno.

Dziwne, ale w tej chwili niepokoiło ją wcale nie nagłe wylanie z pracy, lecz poczucie, że nie przebiegło to tak, jak sobie wyobrażała. Ot tak, w ciągu sekundy, wszystko się zmieniło? Życie nie powinno traktować człowieka w taki sposób. Życie powinno dostarczać wieści powoli, dobre albo złe. Nie powinno ciskać kamieni do stawu, a potem ze złośliwym uśmiechem wskazywać kręgów zakłócających spokój na wodzie. Dlaczego czuła, że to, co się stało, przypominało czołowe zderzenie z dalekim znajomym po wyjściu zza rogu budynku?

Wcześniej padało, dlatego teraz, choć ulica była skąpana

w jasnym, ciepłym słońcu, w powietrzu wisiała woń czegoś nowego. Po jezdni, wzdłuż krawężnika, płynął do ścieku wąski brązowy strumyk, co sprawiło, że wredny autobus, przejeżdżając, ochlapał Shirley i ponownie zmoczył jej buty. Uciekł jej. Oczywiście, to jeden z tych dni.

Po prostu musiała jakoś go przetrwać, nie odnosząc poważnych obrażeń ani nic w tym stylu, a jutro będzie już normalniej. Jutro będzie czas na oszacowanie strat, na staranną inspekcję najważniejszych fortyfikacji i na podjęcie racjonalnej decyzji, jak działać dalej i w którym kierunku.

Skarciła samą siebie, że dramatyzuje. No, wylali ją z pracy, wielkie rzeczy. Nie było to doświadczenie kształtujące osobowość, o którym będzie opowiadać wnukom albo psychologowi. To po prostu kiepski dzień. Ty i takie dni dobrze się znacie. Jesteście kumplami. Bez melodramatu, proszę.

Wyciągnęła rękę. Następny autobus mógł przyjechać dopiero za godzinę. Lepiej po prostu złapać taksówkę, wziąć długi prysznic, potem wejść do łóżka i przeczekać do jutra. A jutro zobaczymy. Zobaczymy, czy jest gdzieś praca. Zobaczymy, co z czynszem za przyszły miesiąc. Zobaczymy, jak się pierze buty.

*

Guy czuł niepokój. Kelnerka nie wydawała się dostatecznie przygnębiona. Oczekiwał średniowysokiego poziomu przygnębienia.

Zresztą może to dobrze. Pozostanie otwarta na nowe pomysły.

Poza tym odrobina frustracji zmieszana ze szczyptą smutku powinna sprawić, że zatęskni za kimś, w kim miałyby oparcie.

Albo po prostu zacznie unikać ludzi.

Powinienem był uwzględnić tę możliwość, pomyślał. Idiota ze mnie. Powinienem był z góry skalkulować jej poziom przygnębienia, precyzyjnie. Zawsze kiedy w grę wchodzi wybór, należy zminimalizować ryzyko błędu. Uczą tego na pierwszej lekcji. Dobrze, nie na pierwszej. Chyba bliżej piątej.

Może na dziesiątej. Już nie pamiętam.

W każdym razie kelnerka nie wydaje się dostatecznie przygnębiona.

*

– Co się dzieje? – zapytał.

Jeden z przechodniów się zatrzymał.

– Słucham?

– Co się dzieje? – powtórzył. – Dlaczego samochody stoją?

– Rura pękła. Zamknęli ulicę.

– A, dziękuję.

Objedzie dookoła. Jeśli skręci tutaj w prawo, a potem w lewo, pojedzie równoległe i dotrze do... nie, tam nie ma wjazdu. Może dwa razy skręci w prawo, a potem w lewo, w tamtą jednokierunkową. Choć może to nie jednokierunkowa, tylko ślepa? Sharon zawsze się z niego śmiała.

– Jak ty ukończyłeś szkolenie oficerskie, skoro nie umiesz nawet poruszać się po mieście?

– W mieście jest inaczej – odpowiadał.

– Powinno być łatwiej.

– Na szkoleniu nie było ciebie. Zupełnie mnie rozpraszasz.

Ona się uśmiechała i lekko przekrzywiła głowę. Rzuciła zagadkowy uśmiech Mony Lisy.

– Nie, nie, poważnie – mówił. – Mapy, ulice, diagramy,

kierunki. Wszystko mi się miesza. W tej chwili istnieją tylko dwa miejsca: przy tobie i nie przy tobie. Więc jak mam pamiętać, któredy jedzie się do kina, co? Sama powiedz.

Wtedy się nachylała i szeptała mu do ucha:

– W lewo, potem w prawo na skrzyżowaniu, do ronda, i dalej prosto, panie dowódco.

No więc kartki się zniszczyły – co z tego? Nie pozwoli, żeby zepsuło mu to dzień... ten ani żaden inny. Absolutnie żaden.

Wróci do domu, ciśnie te parszywe notatki w najciemniejszy kąt mieszkania, ściągnie jakąś komedię, najbardziej kretyńską, jaką znajdzie – coś ze studentami albo neurotycznymi Brytyjkami, albo Hiszpankami, które bardzo szybko mówią – i bez wyrzutów sumienia weźmie sobie piwo i orzeszki.

A potem pójdzie na plażę. To też jest opcja.

W każdym razie ważnym składnikiem było piwo. Obraziłoby się, gdyby nie uwzględnił go w planach. Z piwem nie wolno zadzierać, przekonał się o tym na własnej skórze.

Odchylił głowę do tyłu i ryknął z radości. Zawsze kiedy odsuwał w czasie obowiązki wynikające ze studiów, wpadał w dobry nastrój. Czuł się żywy. Uwielbiał tę „strefę” – swoją szczęśliwą, przyjemną strefę, w której życie nie ogranicza się do samych zobowiązań, jest czymś, przez co po prostu trzeba płynąć.

Pewnego dnia zostanie nauczycielem zen, pomyślał. Powsadzam ludzi do samochodów i pozwolę im ryczeć i śmiać się tak długo, aż odżyją.

Ale na razie musi nam wystarczyć bycie miłym. Pomożemy jakiejś staruszce, weźmiemy autostopowicza, kupimy kwiaty i damy je przypadkowej młodej kobiecie na ulicy. Znowu ryczał

z radości.

*

Ludzie reagowali na sprawy w różny sposób.

Ludzie mieli też różne słabości. Słabości studenta Guy odkrył mniej więcej w połowie badań.

Żadna z nich nie martwiła go jakoś szczególnie, poza kłopotami z orientacją w mieście.

Dlatego dopilnował, by poprzedniego wieczoru student obejrzał film dokumentalny o wojsku. Guy uwielbiał wpływać na myśli ludzi poprzez zmianę ramówki w telewizji. Było to stosunkowo łatwe i miało przyjemny posmak hazardu. A on nie śmiał już ryzykować zakładów większych niż właśnie takie.

Uznał, że jeśli student obejrzy ten film, to jest szansa, że gdy potem, po wyjściu z kawiarni, zada sobie pytanie, dokąd jechać, przyjdzie mu do głowy coś w stylu „lewa, prawa, lewa”. Zresztą inne drogi i tak będą zamknięte.

*

Za dużo czasu minęło. Musiała złapać taksówkę. Znow le-niwie uniosła rękę i spróbowała ocenić swoje szanse na to, że w tym tygodniu znajdzie nową pracę.

Doszła do wniosku, że nie ma żadnych, i właśnie wtedy zatrzymał się przy niej mały niebieski samochód i otworzyła się szyba.

Shirley, rozkojarzona, krótko powiedziała kierowcy, dokąd chce jechać, i wsiadła do auta. Chwilę po zamknięciu drzwi zorientowała się, że to nie taksówka. Jak się okazało, niechcący złapała stopa i teraz obok niej siedział tamten student z kawiarni, przekonany, że pomachała właśnie do niego...

Wrzucił bieg, uśmiechnął się do Shirley i ruszył.

I teraz, kiedy byli w ruchu, ziemia nie mogła jej pochłonąć, nawet gdyby chciała.

*

Była ładna, a do tego cicha. Niebezpieczne połączenie, z jego punktu widzenia.

Wygląda na to, że nie umiesz się powstrzymać przed fantazjowaniem na temat związku z każdą istotą płci żeńskiej, jaką napotkasz, skarcił sam siebie. A teraz zajmij się własnym życiem, przyjacielu.

Choć w zasadzie, skoro idę na plażę z piwem...

*

Naprawdę się starał, trzeba mu było to przyznać.

Odnutowała w myślach, że upłynęła niemal minuta, zanim się złamał i odezwał.

– Mam nadzieję, że za bardzo na ciebie nie nakrzyczał? – zapytał z lekkim uśmiechem.

– Nie, on nie należy do tych, co krzyczą. Kiedy jest zły, po prostu mówi, bardzo wyraźnie akcentując.

– Akcentując?

– Każde słowo. Jakby żwir chrzęścił.

– Jak wyraźnie akcentował tym razem?

– Wylał mnie. – Wzruszyła ramionami.

Pół spojrzenia, na wpół zmartwionego.

– Serio?

– Serio.

Jeszcze nigdy słowa „serio” nie wypowiedziano tak ostro i zwięźle. To było ostatnie słowo w tej rozmowie, kolego, po-

myślała. Mam nadzieję, że do ciebie dotarło.

Miała w sobie coś takiego. Czasami lubiła być agresywna w zwykłej pogawędce. Naruszać przyjętą ciągłość pytań i oczywistych odpowiedzi, wypowiadać niespodziewane słowo lub zdanie, po którym wszyscy milkli, czuli się niezręcznie, skręcali się z zakłopotania i myśleli: „Dobra, więc ona naprawdę nie chce rozmawiać”.

Nie mów do mnie o pracy. W ogóle do mnie nie mów. Jestem tu przypadkiem. Po prostu jedź.

*

– No... Bardzo mi przykro.

– A mnie przykro z powodu twoich papierów. Widziałam, że wszystko wylało ci się na notatki.

– Nic takiego. Skseruję jeszcze raz. – Teraz to on wzruszył ramionami.

– Aha.

– Naprawdę nic takiego.

– Rozumiem. Dobrze. Więc nie jest mi przykro. – Uśmiechnęła się do siebie.

– No tak.

*

– Jestem Dan.

– Shirley.

– Mam kuzynkę Shirley.

Co mnie to obchodzi?

– Serio? Ale numer.

– Tak.

*

Guy znowu liczył oddechy. Wiedział, że powinno to być skuteczniejsze od liczenia sekund, ale robiło się trudne, gdy tempo jego oddechu stawało się nieregularne.

Wyjął z torby komórkę i chwilę odczekał.

Potem jeszcze chwilę.

Tę rozmowę można by nazwać „polisą ubezpieczeniową”, prawda?

Wybrał numer.

*

– Wyszadzę cię na rogu przed twoją ulicą, dobrze? Wolę w nią nie skręcać, bo potem jest jednokierunkowa, no, chyba.

– Super. Nie ma sprawy. – Shirley pozwoliła sobie na szybki uśmiech.

– Masz mieszkanie blisko plaży, prawda?

– Tak, dość blisko. – Krok naprzód.

– Często chodzisz na plażę? – spróbował.

– Czasami. Nie za często. – Dwa kroki w tył.

– Ja czasem chodzę. To naprawdę oczyszcza umysł.

– Mnie wcale. Hałas fal nie daje mi się skoncentrować.

– Nie trzeba się koncentrować, żeby oczyścić umysł.

– Jak tam uważasz.

Uśmiechnęła się. To dobry uśmiech. To znaczy uśmiech z zasady jest dobry, prawda?

– Może pójdę dzisiaj wieczorem. Masz ochotę iść ze mną?

– Posłuchaj...

– Wiesz, to nic specjalnego. Przyniosę piwo, a ty, jak chcesz, możesz przynieść coś do pogryzania. Tak żeby posiedzieć, pogadać. Poważnie mówię.

- Raczej nie.
- Oczywiście normalnie poczekałbym, aż zacznie nam się kleić rozmowa. Oczarowałbym cię różnymi banalnymi spostrzeżeniami. Nie jestem z tych facetów, co działają w pośpiechu, ale zaraz dojedziemy na miejsce i...
- Nie interesują mnie takie rzeczy.
- Jakie?
- Związki.
- Wcale?
- Wcale.
- Coś jak zakonnica?
- Raczej jak strajk.
- Dlaczego?
- To skomplikowane.
- Długo już strajkujesz?
- Chyba nie warto... Co to za hałas?
- To chyba w twojej torebce.
- A, moja komórka, kurde. – Szukanie, grzebanie, macanie. – Halo?
- Cześć.
- Tak?
- Donna?
- Nie. – Shirley poczuła, jak z irytacji same unoszą jej się brwi.
- Halo?
- Nie, nie. To nie Donna.
- Donna?
- Tu nie ma Donny. Pomyłka.
- Halo?
- Pomyłka! Pomyłka!

Zamknęła komórkę i wrzuciła ją do torebki stojącej przy jej nogach.

– Uch! Co za szalony dzień.

*

Guy schował komórkę do kieszeni.

Dobrze, teraz mógł tylko liczyć na powodzenie i wrócić do domu.

I pomalować ścianę.

*

– Dobra, jesteśmy na miejscu.

– Super. Dzięki.

– Więc już cię tam nie spotkam?

– Nie, zostałam zwolniona.

– I nie ma szans, że złamiesz strajk?

– Nie.

– Jestem zdrowy psychicznie. W stu procentach. Badali mnie wybitni specjaliści.

– Nie wątpię.

Ostatni uśmiech, z uniesionymi brwiami.

– Nie ma nawet jednej szansy na tysiąc? Nie dasz mi swojego numeru?

Już dawno powinien zrezygnować.

– Nie, dziękuję.

Spadam stąd.

*

Na ścianie naszkicowany był ogromny, szczegółowy diagram ostatniej misji. W jednym kółku napis „Shirley”, w dru-

gim „Dan” i od każdego odchodziły niezliczone linie.

Z boku mieściła się długa lista cech charakteru, aspiracji i pragnień.

Było też mnóstwo kółek połączonych liniami niebieskimi (akcje do wykonania), czerwonymi (zagrożenia), przerywanymi (co może się zdarzyć) i czarnymi (powiązania, które trzeba uwzględnić). W każdym kółku był jakiś napis złożony z drobnych, niepewnych liter – „Bruno”, „Julia”, „rura”, „autobus 65”, a także kilkadziesiąt innych elementów, pozornie zupełnie pozbawionych związku, na przykład „podstawowe szkolenie i sny – film dokumentalny”, „David, technik z kablówki”, „Monique, żona Davida”. W lewym dolnym rogu znajdowało się miejsce na obliczenia. Niezbędna ilość kawy, żeby upadek filizanki był dostatecznie spektakularny, ilość perfum, która musiała pozostać w buteleczce Julii, ilość wody przepływającej przez rurę w ciągu godziny, pożądana głębokość kałuży na trasie autobusu, piosenki, które lubią nucić dziewczęta.

Było tam również wiele rozmaitych list: mechanicy od klimatyzacji, tematy rozmów o pelikanach, kody dostępu do co najmniej dziewięciu banków, składniki irlandzkich piw, ramówki telewizyjne z trzech krajów, frazy oznaczające „powodzenia” w różnych językach, strefy czasowe, możliwe skojarzenia między Peru a kozim mlekiem oraz setki innych szczegółów wynotowanych drobnymi literami, w różnych kolorach, z liniami biegnącymi tam i z powrotem dla wszystkich ewentualności i subewentualności, i kontekstów, i myśli, i kombinacji, które mogły prowadzić do jednego punktu.

Tak, Guy zdecydowanie dawno miał już za sobą etap pracy z notesem.

- Cześć.
- Cześć.
- Dan, prawda?
- Tak.
- Chyba zostawiłam u ciebie telefon.
- Tak, leżał na podłodze w samochodzie.
- Pewnie upuściłam go obok torebki.
- Na to wygląda. Czyli wyszło, że jednak zostawiłaś mi swój numer telefonu. A przynajmniej swój telefon.

- Najwyraźniej.

Pół ciszy, ćwierć bezruchu, jedna dziesiąta napiętego wy-czekiwania.

- Yy... Mógłbyś mi go przynieść?
- Jasne.
- Super.
- Ale mam lepszy pomysł.
- Tak?
- Jestem na plaży. Możesz po niego przyjść.
- No, okay.
- Super.
- Będę za jakieś piętnaście minut.
- Mnie się nie śpieszy.
- Dobra, cześć.
- Aha... Shirley?
- Tak?
- Mam tu picie, więc jak możesz, to przynieś jakąś prze-gryzkę.

Precyzyjnie obliczony kąt rzutu telefonem w przypląwie irytacji, długie, cienkie pęknięcia na tamach samotności, ryki

triumfu, które przez kilka minut niosą się echem po samochodzie – wszystko ostatecznie miało zbiec się w tym punkcie.

– Dobrze.

*

Noc. Morze. Kolejny młody mężczyzna i kolejna młoda kobieta siedzą i rozmawiają. Nic niezwykłego. Lekkie uśmiechy, dyskretnie chronione przez ciemność. Gazety rozłożone na podłodze i kolejna warstwa farby na ścianie, która widziała już świat ze wszystkich stron.

Na elektronicznej tablicy gdzieś na nieistniejącym lotnisku pojawiła się kolejna pozycja pod nagłówkiem: „Miłość – przyloty”.

W rubryce „Przyczyna” wyświetliły się słowa: „przypadek drugiego stopnia”.

I tak mija kolejny dzień.